

Grzegorz Wszolek: Raport Millera nie wyjaśnia wszystkiego

Tym przede wszystkim różni się od dokumentu MAK, że nie szkaluje gen. Błasika i „głównego Pasażera”



Tym przede wszystkim różni się od dokumentu MAK, że nie szkaluje gen. Błasika i „głównego Pasażera”

Raport komisji Millera wreszcie się pojawił. Nie w styczniu, kwietniu czy czerwcu, jak nas zapewniano, ale 29 lipca. Jeśli ktoś sądzi, że po lekturze tego dokumentu będzie miał pełną wiedzę na temat wydarzeń z 10 IV 2010 r. i należy „zamknąć temat”, znajduje się w grubym błędzie. Nadal wiele spraw jest niewyjaśnionych, część przedstawiona zbyt ogólnikowo. Można ten raport jednak potraktować jako obalenie wielu fałszywych tez, pojawiających się w mediach.

Przede wszystkim – tym różni się od dokumentu MAK, że nie szkaluje gen. Błasika i „głównego Pasażera”. Według członków komisji Millera, dowódca Sił Powietrznych RP był „biernym obserwatorem” lotu. Nie wywoływał presji i nie naciskał na pilotów – można już dziś zakładać, że MAK na taką tezę odpowie. Jednak komisja nie określa, skąd się wziął alkohol we krwi generała. W polskich opiniach do raportu MAK mogliśmy przeczytać, że podanie tej informacji przez Rosjan budzi wątpliwości, gdyż nie wiadomo, na jakich podstawach to stwierdzono i nie ma pewności, czy aby nie wydzielił się po zgonie alkohol endogeny. Tego wątku teraz nie poruszono.

Komisja Millera wykluczyła też na konferencji prasowej rzekomą kłótnię pomiędzy generałem a dowódcą statku, kapitanem Protasiukiem. Sprawa jest zamknięta, bo wcześniej taki komunikat wydała wojskowa prokuratura. Podobnie sprawa się ma z lądowaniem załogi. Przez wiele miesięcy wbijano do głów fałszywe tezy, firmowane przez ekspertów, jakoby piloci lądowali na siłę, by się popisać, brawurowo (co powtarza za granicą Radek Sikorski), wbrew logice i przy fatalnych warunkach. Jak się okazało, komisja ustaliła, że załoga wykonywała jedynie próbne podejście. Co mają do powiedzenia Ci, którzy propagują mity? Jan Osiecki w mediach przekonywał - po publikacji raportu - że załoga chciała lądować, komenda Protasiuka może wcale nie była komendą, a o odejściu postanowiono dopiero w momencie, kiedy samolot uderzył w brzozę. Skąd autor książki „Ostatni Lot” powziął te sensacje? Nie wiadomo. Podobne pytanie nasuwa się po upadku jego teorii na temat kłótni Błasika i Protasiuka przed odlotem, czy nacisków tego pierwszego. Symbolem brawury pilotów miały być słowa w stenogramach „Patrzcie jak lądują debeściaki”. One również nie padły. „Gazeta Wyborcza” i „Polska The Times”, lansujące ten przeciek, nie przeprosiły. Przypomnę, że dziennikarze kolportowali też

plotki o półgodzinnym spóźnieniu Lecha Kaczyńskiego i dociekali: z jakich przyczyn Prezydent nie dotarł na czas na Okęcie, a także czy miało to wpływ na tragedię. Komisja Millera ustaliła, że głowa państwa spóźniła się jedynie 7 minut. Samolot wyruszył z Okęcia o 7:27, po 20 minutach od przybycia Pary Prezydenckiej.

Raport punktuje stronę polską. Przede wszystkim załogę, bo choć nie uznano ich za „samobójców”, tak jak to zrobili Rosjanie, to stwierdzono, że piloci nie mieli wystarczających uprawnień, by lecieć 10 kwietnia. Komisja wytyka im braki w ćwiczeniach na Tupolewie i JAK-u 40. Protasiuk wiedział, że trzeba odejść, ale nie wiedział jak. I ta wersja mnie nie przekonuje, komisja sama nie ma pewności, mimo eksperymentów, jak to jest z zastosowaniem przycisku ucho. Raport stwierdza za to, że odejście na autopilocie nie było niezgodne z instrukcją, ale mogło sprawić „problemy” bez ćwiczeń na symulatorach. Załoga próbowała odejść zresztą na własną rękę, ratując się z sytuacji. Po upływie 5 sekund od komendy „odchodzimy”, dowódca statku pociągnął wolant do siebie i zwiększył ciąg silników. To kolejny dowód na to, jak fałszywe i nedorzeczne są głosy, że piloci lądowali do końca, na siłę. Komisja dogłębnie tego wątku nie sprawdziła. Katastrofę wytłumaczyła zbyt małą wysokością w momencie odejścia i uderzeniem w drzewo. Jednak wcześniej niektórzy eksperci wskazywali, że był na to wszystko czas i samolot powinien wzbić się jak rakieta w górę.

Dostaje się w raporcie przede wszystkim 36. pułkowi SPLT - za brak szkoleń, symulatorów, niewykwalifikowaną kadrę, nieznajomość języka rosyjskiego, rezygnację z nawigatora. Załogi, odbywające loty, miały być, wbrew przepisom, zbyt eksploatowane. Patologie w 36. pułku to

istotny element, by zaprowadzić na przyszłość wiele zmian w wojsku. Trzeba pamiętać jednak, że zaniedbania nie są bezpośrednimi przyczynami katastrofy.

Raport jest krytyczny również dla kontrolerów i obsługi lotniska. Komisja wskazuje na chaos i nieprzygotowanie ludzi w czymś, co przypominało stację kontroli lotów. Podkreśla się też błędne komendy w kierunku załogi: „na kursie na ścieżce” czy spóźnione „horizont”. Kluczem są jednak konkretne nazwiska ludzi, z którymi kontrolerzy się łączyli. To w tych rozmowach decydowały się losy lotniska Siewiernyj i obiektów zapasowych. Polska strona nie dysponowała też bardzo ważnym zapisem z urządzeń wieży. Oficjalnie – przez zwarcie prądu. Komisja ustaliła, że zapis był prowadzony, ale zniknął, co powiedziano na konferencji.

Raport nie wini nikogo z nazwiska. To podstawowy błąd – od odpowiedzialnego rządu nie można wymagać jedynie rozmycia kwestii personalnych. Polecał ze stanowiska ministra tylko „honorowy” Bogdan Klich. Trzeba przyznać jednak, że raport mógł być gorszy i sprzyjać całkiem władzy jako cep na opozycję. Można się zastanawiać, czy ktoś taki jak Jerzy Miller potrafił sprostać wyzwaniu i dobrze wykonywać swoje obowiązki w komisji. Był przecież zwierzchnikiem szefa BOR, odpowiedzialnego za zabezpieczenie lotniska w Smoleńsku, którego – jak wiemy – nie podjęto, mimo wielu deklaracji gen. Janickiego.

Komisja nie wyjaśniła ewentualnych rozbieżności między komendami, padającymi z wieży 7 a 10 kwietnia. Rzecznik prokuratury wojskowej, płk Rzepa, zapewnił mnie kilka miesięcy temu, że o te zapisy stara się

prokuratura. Nie wiadomo albo można się domyślić, z jakim skutkiem. Raport Millera nie podejmuje też próby wytłumaczenia awarii prądu samolotu na wysokości 13 m. Stwierdza, że do końca lotu samolot był sprawny. To podstawowa różnica z ustaleniami prokuratury, Zespołu Parlamentarnego PiS, a nawet MAK. Nie badano też wraku, bo nie zachodziła taka potrzeba. By zbadać pozostałości samolotu, musiałaby nastąpić awaria – nie odwrotnie. Tak logiczne wywód dał wczoraj Jerzy Miller. Nie zaprezentowano też stenogramów, sporządzonych przez Instytut Ekspertyz Sądowych. Nie zbadano przebiegu akcji ratunkowej, co wprost w dokumencie jest tłumaczone bezradnie – polska strona w tej kwestii musi wierzyć na słowo ustaleniom MAK.

Krótko mówiąc – można zamknąć jedynie wątek sytuacji i patologii w 36. SPLT, a więc coś, co najwyżej pośrednio doprowadziło do tragedii. Przeczytanie raportu Millera, Białej Księgi i raportu MAK (pod kątem najbardziej krytycznym z wiadomych względów) nie wyczerpuje listy pytań i wątpliwości. Dlaczego? Bo rząd oddał śledztwo Rosji i MAK, kwalifikując lot jako „cywilno-wojskowy”. Taki status, dotychczas chyba nikomu nieznany, ujawnił wczoraj na konferencji zagubiony i wściekły na dziennikarzy Donald Tusk. Komisja Millera po wielu miesiącach błędzenia przyjęła status wojskowy. Skoro rozbieżności dotyczyły sprawy tak podstawowej i nadal występują, trudno, by w kwestiach trudniejszych i bez dowodów mieć 100 % pewności. Katastrofa smoleńska nigdy w pełni nie zostanie wyjaśniona – wszystko na to przynajmniej wskazuje.

Grzegorz Wszolek - blogger Salonu24

Przeczytaj też:

Łukasz Warzecha: Po raporcie Millera